

„Nikt nie potrafi pisać o trudnych dla młodych ludzi tematach tak jak Kathleen Glasgow. *The Glass Girl* to przejmująca opowieść o dorastaniu, walce z uzależnieniem i próbie odnalezienia siebie, ale też o nadziei, przyjaźni i drugich szansach. Ta wstrząsająca historia piętnastoletniej alkoholiczki, która musi stawić czoło trudnym życiowym wyzwaniom, chwyta za serce swoją szczerością i autentycznością, nikogo nie pozostawiając obojętnym. Ze mną zostanie na zawsze”.

Monika Maliszewska @maitiri_books

„Kolejna książka Kathleen, która dosłownie potrząsa duszą. *The Glass Girl* to nie tylko wstrząsający portret uzależnionej wrażliwości, to także intymna i mocno przenikliwa konfrontacja z zaburzeniami lękowymi oraz destrukcyjnym brakiem wsparcia. Historia Belli to tak naprawdę pamiętnik wielu młodych ludzi, dla których nałóg okazał się zbawienną ucieczką i jednocześnie niszczącą pułapką. Kreacja piętnastolatki ocieka samotnością – przytłoczona bodźcami, zamroczone wlewany w siebie procentami, tak bardzo pokruszona, stargana brutalnością życia, przeszyta tęsknotą za ukochaną, choć przecież niedoskonałą babcią. Kathleen Glasgow obnaża szalenie trudne emocje, akcentując w ten sposób bezgłośnie wołanie o pomoc”.

Miłka Kołakowska @mozaikaliteracka

„Wstrząsający obraz rozpaczcy topionej każdego dnia ukradkiem w alkoholu. Kathleen Glasgow znów złamała mi serce, które jednocześnie oddałam tej historii... To bolesna, bezkompromisowa opowieść, która roztrząska Was emocjonalnie na tysiące kawałków. Autorka z całą pewnością jest mistrzynią powieści, które niczym tatuaż pozostają w sercu czytelnika na długo. Polecam!”

Joanna Wolf, NIEnaczytana

THE
GLASS
GIRL



KATHLEEN GLASGOW

Przełożyła Ewa Bobocińska



Tytuł oryginału: *The Glass Girl*

Text copyright © 2024 by Kathleen Glasgow
Jacket art copyright © 2024 by Oneworld Publications

First published by Delacorte Press, an imprint of Random House Children's Books,
a division of Penguin Random House LLC, New York.

All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part
in any form.

This edition published by arrangement with Random House Children's Books, a division
of Penguin Random House LLC.

Copyright © for the translation by Ewa Bobocińska

Redakcja: Marta Tojza
Korekta: Renata Kuk, Magdalena Magiera
Skład i łamanie: Robert Majcher
Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright for the Polish edition © 2024 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-489-8

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2024

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

Druk i oprawa: **opolgraf** 
DRUKARNIA

Wydrukowano na papierze Creamy 70, dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

*Gdziekolwiek jesteś i niezależnie od tego,
jak bardzo ciemna wydaje ci się droga,
którą kroczysz – wracaj.
Ktoś zostawił dla ciebie zapalone światło.*

TUTAJ ZNAJDZIESZ KOGOŚ, Z KIM MOŻESZ POROZMAWIAĆ:

Telefon zaufania Fundacji „Nagle Sami” po stracie bliskiej osoby
(w dni powszednie w godzinach 14-20)

800 108 108

Ogólnopolski Telefon Zaufania – Uzależnienia
(działa codziennie, w godzinach 16-21)

800 199 990

Telefon Zaufania dla Dzieci i Młodzieży
(działa całą dobę)

116 111

Młodzieżowy Telefon Zaufania grupy „Ponton”
(działa w piątki, w godzinach 16-20)

22 635 93 92

Ze strony **www.116111.pl**
możesz również wysłać wiadomość.

Ponadto całodobową i bezpłatną pomoc możesz uzyskać
telefonicznie, mejlowo i poprzez czat na stronie:

<https://liniawsparcia.pl/>

NIE WAHAJ SIĘ POPROSIĆ O POMOC.

Gałęzie wbijały się w jej dłonie
Nie przeszkadzała jej krew na rękach
Szła dalej
Wyżej i wyżej
Z liśćmi we włosach
W podartych dzinsach
Nie przeszkadzała jej krew na spodniach
Jakiś ogień w sercu
Pchał ją wyżej
Byle dalej od krzyków
Byle dalej od spojrzeń
Byle dalej od świata
Mocne stopy, bosa na gałęziach
Nie przeszkadzała jej krew na stopach
Na samej górze
W niebie
Mogła oddychać
Przepadły krzyki
Przepadły spojrzenia
Oparła policzek o drzewo
Zamknęła oczy
Zebrała wszystko razem
I odrzuciła od siebie daleko, daleko
Jaki piękny ten świat
Kiedy stępiła ostre kanty
Wygladziła poszarpane brzegi
Spilowała je na proch
I patrzyła, jak przesypuje się między palcami
A potem
Trzask, loskot i spadała
I spadała
I spadała
I spadała
Drzazgi jej gniazdka całe we krwi

Co rano po przebudzeniu myślę, że nie dam rady. A może raczej myślę, że nie chcę już dawać rady. Jestem ociążała po tym, co zrobiłam poprzedniego wieczoru, i jestem ociążała przez to, co we mnie tkwi; czasami jest tego cholernie dużo, nie do udźwignięcia. Czuję takie zmęczenie, jakby moje kości były gołe jak u kościotrupa i rozklekotane. Takie zmęczenie, jakbym miała beton w butach, kamizelkę ołowianą na piersi, cegły przywiązane w pasie. Ale wstaję. Zwlekam się z łóżka, stawiam betonowe stopy na podłodze i rozpoczynam głupie codzienne czynności, bo tak to już jest, jak się ma piętnaście lat: matka wydziera się na ciebie, że spóźnisz się do szkoły; tata wydziera się na ciebie, że jeśli się nie pośpieszysz, to on spóźni się do pracy. Nauczyciel zawstydzi cię przed całą klasą, bo nie uważałaś. Ktoś, ktokolwiek, każdy – zawsze znajdzie się taka osoba, która wpadnie na ciebie na korytarzu i popchnie cię na ścianę, i to nawet nie celowo. Gorzej. Ludzie po prostu cię nie dostrzegają. Nie istniejesz. Nie jesteś nawet maleńkim punkcikiem pulsującym na radarze ludzkości. Zobaczysz osobę, która złamała twoje serce na pół, wepchnęła je sobie do ust i połknęła; chciałabyś mieć je z powrotem, ale myślisz, że nigdy go nie odzyskasz, a kto mógłby żyć bez serca? Albo przypominasz sobie, że twoja babcia umarła, a ta wielka czarna dziura chce pochłonąć także i ciebie. Kto byłby w stanie tak żyć? Być może będzie dzisiaj próbny alarm i na płastyce będziesz musiała się skulić pod oknem. A może alarm będzie prawdziwy. Pingwiny na Antarktydzie mają plastik we krwi. Pożary. Powódzie. Jeśli mieszkasz na pustyni, to jest gorąco, z każdym rokiem coraz goręcej. Ale musisz wstać z łóżka, bo masz piętnaście lat, i to właśnie robisz. Wkładasz workowate dzinsy. Wkładasz powyciągany podkoszulek.

Luźną bluzę. Wszystko zbyt obszerne, ponieważ musisz opuścić pokój, aby twój ból mógł urosnąć. Chronisz siebie. Doprowadzasz do perfekcji maskę z pudru i czarnego eyelinera, twarz dla ludzi, którzy patrzą tylko na to, co na zewnątrz – może to nie jesteś prawdziwa ty, ale kto chciałby oglądać, jaka jesteś w środku? Tęgo byłoby za wiele, a zarazem nie dość. Ta część ciebie to pustka i szarość, to zdychające serce. Wszyscy twierdzą, że potem będzie lepiej. Kiedy będziesz starsza. Jakby to był wyrok, który trzeba odbyć. Jakby to miało cię zahartować, jeśli przetrwasz. Jakby było warto. Może to i prawda, ale ta perspektywa wydaje się taka odległa, tak długo trzeba dźwigać ten ciężar, że jesteś w stanie przeżyć dzień tylko dzięki świadomości, co możesz zrobić pod jego koniec, aby choć przez krótką chwilę mieć poczucie, że był coś wart, zanim porwie cię kojąca fala, która zmywa wszystko.

JEDEN

Dycha, dycha, dycha za wszystko.
Wszystko, wszystko, wszystko.

— Violent Femmes,
Kiss Off

PIĄTEK

To jest tak, jakbyśmy grały w butelkę, tylko że bez butelki. Dobrze wiem, jak to się potoczy. Wyimaginowana butelka będzie wirowała między nami, aż zakręci się nam w głowach, potem zwolni i w końcu wskaże na mnie.

Cherie nie chce, by padło na nią. Twierdzi, że nie jest w tym dobra, chociaż robiła to dopiero dwa razy. Mówi, że nie podoba jej się, jak ludzie wtedy na nią patrzą.

Amber mówi: „Zapomnij”. Ona jedna ma samochód i prawo jazdy; jest kierowcą i uważa, że to wystarczy. Skoro musi pozostać trzeźwa, to nie powinno paść na nią. „Ja jestem kapitanem tego statku”, powiada. „Nawiguję tą pijaną łajbą, więc nie ja”. Zresztą ona i tak nie lubi pić. Spróbowała raz i wszystko wydawało się okej; chichotała z nami wszystkimi w pokoju Kristen, kiedy puszczałyśmy w obieg papierowy kubek z likierem miętowym, ale potem wymiotowała na siebie. Musiałyśmy ją rozebrać i wstawić pod prysznic; ja weszłam tam z nią dobrowornie, żeby się nie przewróciła. Zmywałam szamponem wymiociny z jej długich włosów, a ona płakała. Dobrze, że mama Kristen spędzała tamtą noc u swojego chłopaka. Znalazłyśmy zapomnianą, zakurzoną butelkę likieru miętowego na najwyższej półce kuchennego kredensu. Zawartość wyglądała i smakowała jak cukierek, więc spróbowałyśmy. Miałyśmy po trzynaście lat; który dzieciak nie lubi cukierków? Tak czy owak, dla Amber był to pierwszy i jedyny raz.

Kristen opiera się z całej siły o wewnętrzną stronę drzwi samochodu; jej kucyki z czerwonymi kokardkami powiewają na wietrze wpadającym przez uchylone okno.

– Bella, ty to zrób. Jesteś najlepsza. Nie przejmujesz się – mówi, wymachując elektrykiem.

– To wstrętne – zwraca się do niej Amber. – Naprawdę obrzydliwe.

– Wszystko jest obrzydliwe, jeśli się nad tym zastanowić – odpala Kristen. – Ale kogo to obchodzi?

Siedzę na tylnym siedzeniu obok Cherie i wzdycham.

Butelka wskazała na mnie. Wszyscy zawsze mówią mi to samo, co przed chwilą powiedziała Kristen, tylko w różnych wersjach:

„Bello, ty to zrób”.

„Bello, powiedz siostrze, żeby oderwała się od tabletu i przyszła na obiad”.

„Bello, powiedz ojcu, że znowu spóźnił się z czekiem”.

„Bello, dowiedz się, czy ten facet uważa mnie za gorącą laskę”.

„Bello, nie przeczytałam tej książki, streść mi ją, żebym mogła napisać to głupie, cholerne wypracowanie”.

„Bello, Bello, Bello”.

Zamykam oczy. Chciałabym zostać sama, ale nie wolno mi być samej – po Dylanie. Wiem, że powinnam być wdzięczna przyjaciółkom, które próbują się mną opiekować, ale czasem chciałabym mieć odrobinę ciszy i spokoju, bez hałasu, bez niczego. Po prostu... bez niczego.

Czasami czuję się tak, jakbym żyła w automacie do gry we flippera, jakbym była tą poobijaną kuleczką, przrzucaną z jednego kąta w drugi przy akompaniamencie błysków światła i dzwoneczków. I nie mogę przerwać gry, bo to ja jestem grą.

Amber zatrzymuje samochód przy krawężniku za rogiem ulicy, przy której mieści się sklep. Część czerwonych liter pociemniała, więc napis głosi: L_C_Y L_Q_R.

Lucky Liquor. Szczęśliwy Alkohol. Niektórzy starsi chłopcy ze szkoły nazywają ten sklep Lucy Licker. Liżąca Lucy. „Ostatniej nocy miałem

randkę z Liżą Lucy”, mówią. Tłumaczą w ten sposób zapuchnięte oczy i nieświeży oddech, jakby kogokolwiek obchodziło to, że mają kaca. Szczerze? Nikogo nie obchodzi, co oni robią. Poza dziewczynami.

Wszystkie w samochodzie siedzą teraz cicho, czekają na mnie.

Każę im czekać jeszcze przez kilka chwil, jak zawsze. To już taki nasz zwyczaj, robimy to za każdym razem. Nieodmiennie.

Jeżeli prowadzi Kristen, to mówi, że nie może. Jeżeli prowadzi Amber, to Kirsten twierdzi, że Amber byłoby głupio i że ona nie lubi picia, więc wszystkie jej wybaczą. Cherie nigdy tego nie robi, odkąd jakiś obrzydliwy gościu złapał za kieszeń jej bluzy i ją podarł. I tak w kółko, jak w grze w butelkę. Nieważne, w co gramy: kamik w naszej alkoholowej grze w klasy zawsze ląduje na moim polu.

A wskazuje na mnie dlatego, że ja to zrobię i one o tym wiedzą.

„Bella jest zawsze gotowa na przygodę. Bella to robi. Bella jest w tym dobra. Bella da radę. Bella, no już”.

Kristen i Cherie podają mi pieniądze, słyszę ich oddechy. Oczy Amber zwrócone są w lewo, w ciemność za oknem przed miejscem kierowcy, więc nie widzę ich we wstecznym lusterku. Myślę, że jest wściekła, ale nie powie tego na głos.

– Dobrze – mówię. – Dobrze, wy tchórze. – Wyjmuję z ich rąk ciepłe, zgniecione banknoty.

– Bella! – wołają. – Bella, jesteś najlepsza!

Nie jestem najlepsza. Jestem najgorsza. Ale to nieważne. Wszystko, czego w tej chwili pragnę, to stępić w sobie ostre kanty. Te, których nikt nie może zobaczyć. Te, które ranią mnie do krwi.

Otwieram drzwi samochodu i wysiadam.

Są pewne zasady, których trzeba przestrzegać, o których należy pamiętać.

Jak na przykład odczekanie chwili, byle nie za długiej i nie nazbyt blisko sklepu, żeby nie budzić podejrzeń. Do sklepu podjeżdża lexusem starsza pani, udaje, że chodzi jej tylko o Arizona Ice Tea i miętówki. Takie damy łatwo ferują wyroki i należy ich unikać, choć same wynoszą

ze sklepu plastikowe torby z butelkami wina, które prawdopodobnie za kilka godzin wypiją. No, dajcie spokój. Powodem, dla którego przyjeżdżają po marny alkohol w tę szemraną okolicę, jest pragnienie, by nikt ze znajomych nie zobaczył, że kupują tyle wina. Ponieważ piją za dużo i nie chcą, aby wiadomo było, jak dużo. I zawsze pojawia się pod sklepem jakiś stary przyk w garniturze, który wchodzi do środka, ale marszczy brwi na widok dziewczyny na chodniku (mnie), udającej, że sprawdza coś w telefonie. „Potrzebujesz czegoś?”, mógłby zapytać taki typ z błyszczącą łysiną. „Zgubiłaś się?”

W rzeczywistości wcale o to nie pyta. Wiesz o tym, bo mierzy cię spojrzeniem od stóp do głów. Nie sposób się takich pozbyć. Będą chcieli odprowadzić cię do samochodu, „aby się upewnić, że jesteś bezpieczna”, sprawdzić twoich przyjaciół. Zboczeńcy. Prawdopodobnie mają córki i padliby trupem, gdyby to one robiły coś takiego. A my wszystkie jesteśmy czyimiś córkami.

Należy wybierać ostrożnie. To w żadnym razie nie powinna być kobieta, chyba że z lekka zaniedbana i jakby obskurna (flanelowa koszula, fajki w kieszeni, klapki na nogach). To sugeruje, że będzie miała wszystko w nosie. Ona może to zrobić. „Tylko bądź ostrożna na tej imprezie”, może powiedzieć, wręczając ci torbę. „Nie wpakuj się w tarapaty”.

To może być dwudziestoparoletni facet, byle nie nazbyt przystojny, nie nazbyt wymuskany, raczej taki wyglądający na samotnego (okulary sklezione taśmą, podkoszulek z niezrozumiałym nadrukiem z dziedziny kultury, brudne sneakersy). Tylko nie wolno dopuścić, żeby pomyślał, że może pójść z tobą do samochodu albo dostać twój numer, i nie należy zbyt długo z nim gadać, bo to może doprowadzić do c z e g o ś – i tak się rzeczywiście raz skończyło z Kristen. Ta dosłownie przytrzasnęła facetowi palce, gdy gwałtownie podniosła szybę, a on zaczął nas obrzucać wyzwiskami. Amber nadepnęła na gaz, a my wszystkie wrzeszczałyśmy histerycznie w samochodzie; nasze głosy złączyły się w jeden wysoki pisk, ale szybko ogarnęło nas rozbawienie (z wyjątkiem Amber) i zaczęłyśmy się śmiać, też histerycznie. To właśnie jest fajne w picciu: coś,

co przedtem wydawało się jednym, po alkoholu zmienia się w coś całkiem innego.

To może być również niefajne, ale staram się odpychać od siebie złe rzeczy i myśli. Takie jak Dylan. To była niewątpliwie sytuacja z kategorii zmiana jednego w drugie, i to nie na lepsze. To był wieczór, który Kristen określa jako Wyjątkowo Niefortunna Publiczna Wpadka Belli.

Tak czy owak, potrzebujesz kogoś, komu wszystko wisi. Potrzebujesz osoby, która wchodzi do sklepu, żeby zaspokoić własne potrzeby, i która nawet nie mrugnie okiem; wysłucha po prostu, co mówisz, weźmie od ciebie pieniądze i wyjdzie po chwili, poda ci twoją torbę i wróci z własną do swojego auta albo odejdzie na piechotę w noc, nie mówiąc nawet „do widzenia” albo „gdzie ta twoja impreza”, albo „zachowaj bezpieczeństwo”, ponieważ sama chce wykorzystać ten wieczór. Trzeba po prostu wyczuć, kto przychodzi tu wyłącznie po alkohol i potrzebuje go n a t y c h m i a s t , podobnie jak ty, i kto nie wzgardzi dodatkowym dziesiątakiem za fatygę.

Musisz to przeprowadzić szybko i gładko. Bez ogródek. Dużo się nauczyłam po tych kilku razach, kiedy załatwialiśmy to w ten sposób.

„Hej, kupisz mi pół literka wódki? Możesz zatrzymać resztę”.

Zwykle potrzebujesz faceta, starszawego, rozczochranego, w czapce bejsbolówce i sportowej kurtce narzuconej na podkoszulek z jakimś nadrukiem, szurającego trampkami i śmierdzącego papierosami. Jak jeden z kumpli mojego taty, który grał kiedyś w zespole, „czy czymś w tym rodzaju”, jak mój tata. A teraz jest przeciwieństwem przystojniaka. Może myślał, że zostanie artystą albo gwiazdą rocka. Obecnie za dnia siedzi w jakimś biurze i nie pamięta o dawnych marzeniach, zaparty w arkusze Excela. I wszystko, co ma, pochodzi z tego sklepu.

Stoję na chodniku, podkulam palce nóg w sneakersach i udaję, że przeglądam wiadomości w telefonie, ale co parę sekund podnoszę ukradkiem wzrok, żeby ocenić sytuację. Jeśli mam być szczerą, to właściwie nie mam nic przeciwko temu, bo wiem, czym to się skończy. Poczuję się lepiej. I przez to ogarnia mnie lekki dreszczyk emocji.

W tym momencie go dostrzegam.

I wiem: on to zrobi. Ten facet ma wszystko gdzieś. Wpatruje się w chodnik i nie obchodzi go, czy jestem fajna i seksowna, czy nie. Kompletnie go nie obchodzi. Przyszedł tu po to samo co ja: żeby się upić.

W momencie, gdy ma mnie minąć, rzucam:

– Hej, mógłbyś mi kupić wódkę? Możesz zatrzymać resztę. – Staram się zachować neutralny ton głosu i obojętną minę. – Pół litra. Nie małą buteleczkę.

Nie zatrzymuje się, żeby dłużej mi się przyjrzeć. Żeby obejrzeć mnie od stóp do głów jak faceci w garniturach. Ma swoje sprawy do załatwienia.

Przystaje tylko na chwilę. I kiwa głową. Bierze ode mnie pieniądze, ma suchą skórę na rękach pobrudzonych atramentem.

– Tak, jasne – mówi.

Zawsze przychodzi ten moment, gdy moje serce zaczyna bić szybciej, a na czole pojawiają się krople potu. Czy wyjdzie ze sklepu i ruszy w przeciwną stronę? Nie mogę go gonić po ulicy. Czy minie mnie ze złośliwym uśmiechem i słowami: „głupia smarkuła” i poklepie torbę, nie zatrzymując się? Parę razy tak się zdarzyło.

Śledzę jego ruchy przez zakratowane okno sklepu. Alejka z chipsami, gatorade, lodówka z piwem, alejka z alkoholem, lada, jego wargi poruszające się, skinienie głową w stronę kasjera, butelki pakowane do torby. Serce nadal bije mi szybciej, a ręce się pocą.

Esesuję do Kristen: *Wszystko w porządku.*

Ona odpisuje: *Bohaterka.*

Dzwonek przy drzwiach cicho brzęczy, gdy facet je otwiera, potem przechodzi na drugi koniec parkingu, gdzie stoję na chodniku, na wpół ukryta za krzakiem.

W jednej ręce trzyma torbę, w drugiej zgrzewkę piwa, gatorade wystaje mu z kieszeni kurtki, obciążając materiał swoim ciężarem.

– Na zdrowie – mówi. I tyle, już go nie ma, odchodzi, powłócząc nogami.

Wracam do samochodu, Kristen i Cherie wiwatują, ale Amber siedzi cicho.

– Bella! – wykrzykują. – Bella, nasza królowa!

– Ja pierwsza – mówię, otwierając flaszkę. Nalewam tyle, ile moim zdaniem mi się należy, do swojej opróżnionej do połowy butelki sprite’a.

Jak zwykle.

Amber patrzy na mnie we wstecznym lusterku, jej oczy ciemnieją.

– Jezu, nie tak dużo – mruczy.

– Jest piątek – odpowiadam. – Wyluzuj.

* * *

Palce Kristen się trzęsą, kiedy przegląda telefon. Noce robią się coraz chłodniejsze, a ona nawet nie ma na sobie bluzy, nic, tylko cienki podkoszulek bez rękawów i džinsy z dziurami na kolanach. Końcówki kucyków muskają jej kościste ramiona.

– Ludzie spotykają się u Cole’a – mówi.

– N i e ! – wołają jednocześnie Amber i Cherie, wskazując na mnie.

Kristen wzdycha, chowa telefon do tylnej kieszeni džinsów i podskakuje, żeby się rozgrzać.

Siedzimy na ławce w parku, po prostu cztery dziewczyny z butelkami sprite’a i torbą serowego popcornu. Niewinna zabawa w piątkowy wieczór. Nie będziemy w stanie zostać tutaj zbyt długo. Park zamykają o dziesiątej, a w pobliżu kręcą się jakieś podejrzanе indywidua.

Ale na razie jest okej. Pociągam długi łyk z butelki, wódka rozchodzi się po moim ciele jak strumień ciepłej wody. Przez cały dzień chciałam to poczuć.

– Wyglądacie, dziewczyny, jak kloszardzi urządzający sobie popijawę w parku – stwierdza Amber.

Rechoczymy wszystkie, jedna przez drugą.

– A co niby mamy robić, Amber? – pyta Cherie. – Nie mamy nic do roboty.

Jakie odległe wydają się czasy, kiedy po prostu siedziałyśmy w domu, oglądałyśmy filmy i uczyłyśmy się robić makijaż w stylu kociego oka według instrukcji na YouTubie, a potem zasypiałyśmy razem jako kłab koców, piżam i potarganych kucyków. A teraz jesteśmy tutaj i pijemy. W parku albo na imprezie, albo w czyimś garażu. Wszyscy robią to samo.

Jak dokonała się ta zmiana, gdzie i kiedy? Teraz po prostu mamy taki styl życia. Przedtem było inne; czasami odnoszę wrażenie, że obudziłam się pewnego dnia i wszystko się zmieniło.

Właściwie nie lubię myśleć o tym, jak coś nagle się zmienia, bo musiałabym myśleć o Laurel, a myślenie o niej sprawia, że czuję się, jakbym została przygnieciona przez kogoś bardzo potężnego. Tak mocno, że nie mogę się wyrwać ani oddychać.

– Jak długo ona ma być na tej towarzyskiej kwarantannie? To już nie jest takie świeże. – Kristen odwraca się do mnie. – Czy nie możesz tak po prostu położyć na nim krzyżyka?

Unoszę głowę i pociągam długi łyk spródkki, jak Cherie nazywa ten napitek. Połączenie słodkości i mocy budzi fajne uczucie w mojej piersi. Zaczynam czuć się lepiej, swobodniej. Bardziej normalnie.

Czasami jestem tak obolała, jakby moje ciało miało się rozpaść na milion kawałków.

Okej, nie czasami. Przez cały czas.

– Położyłam już na nim krzyżyk. – Staram się odpowiadać lekkim, spokojnym głosem. – Kochałam go, straciłam i dostałam nauczkę.

– Kłamczucha – mruczy Amber, przeglądając telefon.

– Racja – rzuca Cherie. – Widziałam, jak gapiłaś się na niego wczoraj na boisku. Wyglądałaś, jakbyś miała się rozplakać. – Delikatnie kładzie dłoń na moich plecach.

Ten gest wywołuje lekki ból w moim sercu, pociągam więc kolejny łyk i odsuwam się nieco, by jej ręka opadła.

– Nie możesz chodzić na żadne imprezy, dopóki nie będziemy miały pewności, że znowu się nie załamiesz – oznajmia Amber, podnosząc wzrok znad telefonu. – Ostatnim razem było fatalnie.

– Było całkiem zabawnie, patrząc z perspektywy czasu – odzywa się Kristen. – Wyjątkowo Niefortunna Publiczna Wpadka Belli. – Wyjmuje swojego elektryka.

– Czy mogłybyśmy o tym nie rozmawiać? Proszę. – Żołądek mi się ścisza. Impreza u Luisa pozostaje dla mnie zamazanym wspomnieniem. Pamiętam tylko niewyraźne fragmenty. Gorąco przez zbyt wielu młodych ludzi w zbyt małym domu. Muzykę z niewielkich głośniczków. Antałek w aneksie kuchennym. Potem Dylana w swetrze, który tak kochałam; w tym starym, zielonym swetrze, który znaleźliśmy w sklepie charytatywnym w Tucson; był taki miękki, gdy opierałam na nim głowę. Z rękami w kieszeniach przysunął się blisko do tamtej dziewczyny, Willow, jej włosy musnęły jego policzek, gdy się pochylała, żeby usłyszeć, co on do niej mówi.

Stałam jak wmurowana, ludzie wpadali na mnie, rozlewali drinki i wrzeszczeli, a ja wspominałam, co powiedział Dylan, kiedy zrywał ze mną na parkingu naszej szkoły średniej. „Ty jesteś po prostu... za bardzo”, oznajmił, przesuwając spojrzeniem po wszystkim naokoło, byle tylko nie patrzeć na mnie.

A na imprezie u Luisa zobaczyłam, jak Dylan pociągał delikatnie końce włosów Willow. I coś we mnie pękło.

Potem zrobiło się niesamowicie.

Amber dotyka mojej dłoni.

– Hej – mówi. – My się po prostu o ciebie troszczymy.

Kiwam głową i oddycham głęboko. Pociągam kolejny łyk.

– Nie dmuchaj na mnie – woła Cherie do Kristen i macha ręką przed twarzą. – Matka mnie zabije, jeśli wyczuje ode mnie podejrzany zapach. Już i tak będę musiała wysikać tę kurtkę odświeżaczem powietrza.

Kristen się krzywi.

– Zawieź mnie do Cole’a – zwraca się do Amber błagalnie. – Ktoś odwiezie mnie potem do domu. Kocham cię, Bello, ale nie możemy wszystkie cierpieć tylko dlatego, że ty masz złamane serce.

– Dzięki za wsparcie – mówię ironicznie, unosząc kciuki.

– Dobrze – zgadza się Amber. – Ale Bella zostanie ze mną.

Obserwujemy, jak Kristen wspina się po stromym podjeździe do domu Cole'a. Chłopak mieszka na wzgórzu w ładnym, rozległym budynku z wielkimi oknami i lśniącym, podgrzewanym basenem na tyłach. Mogłoby się wydawać, że to jakiś popularny, bogaty dzieciak, ale tylko stwierdzenie „bogaty” jest prawdziwe. To po prostu typ, którego rodzice mają gdzieś fakt, że ich syn imprezuje. Kupują alkohol i zmywają się na całą noc, w takim wypadku nie ma właściwie znaczenia, kim się jest w szkole. Jeśli ktoś ma drinki i wolną chatę, to wszyscy się zbiegną. Ja nie znam nawet większości osób na tych imprezach, choć przypuszczalnie chodzę z nimi do szkoły.

Nie jestem w stanie się powstrzymać, więc przesuwam wzrokiem po grupkach ludzi przed domem, wypatrując Dylana.

– Sorry, ale ja też nie chcę stracić tego wieczoru – mówi Cherie, wyskakuje z samochodu i biegnie za Kristen. Serce mi się ściska, gdy widzę w jej ręce butelkę wódki. Sprawdzam swoją spródkę.

Za mało.

Przesiadam się na fotel pasażera.

– W porządku – zapewniam. – Jeśli masz ochotę zostać, to będę grzeczna. Obiecuję.

Trochę liczę na to, że Amber powie „tak” i będę mogła poszukać Dylana.

Ale ona potrzeba głową.

– Nie, jeszcze nie jesteś gotowa. Zresztą i tak muszę wracać do domu. Mama potrzebuje samochodu, bo ma nocną zmianę, więc ja dyżuruję przy Lily. Możesz u mnie zostać, jeśli masz ochotę. Możemy potapczanić.

„Potapczanić” oznacza posiedzieć w jej bawialni, pooglądać filmy i YouTube'a, pozajadać przekąski dla pijaków, ale bez picia. To niedozwolone w domu Amber.

– Nie dzisiaj – mówię. – Powinam chyba wrócić do domu i spędzić trochę czasu z mamą. Zresztą jutro muszę pracować.

– Okej.

* * *

Droga ze wzgórza do śródmieścia zajmuje dwadzieścia minut. Amber wybiera River Road, krętą jak piękny rollercoaster. Jedzie ostrożnie, reflektory samochodu oświetlają opuncje na poboczu, każda z nich wygląda jak upiorna, kolczasta, zielona zjawa. To takie uczucie, jakbyśmy unosiły się w wysnionym świetle, nieważkim i w połowie rozświetlonym.

Powoli pociągam swoją spródkę, delektuję się nią, ale zachowuję ostrożność. Nie mogę wypić za dużo przy Amber, żeby nie trafił jej szlag. Chwilowo milczy i mam spokój.

Odnoszę wrażenie, że gdybym mogła na zawsze pozostać w tym aucie z Amber, lekko podchmielona, czując się ciepło i bezpiecznie, a nie zagubiona, to byłoby idealnie.

Ale nie mogę.

* * *

Amber skręca w moją ulicę.

Mój mózg mówi: „Okłam ją”.

Moje serce mówi: „Och, Bello”.

Ja mówię jakby od niechcenia:

– Właściwie, czy mogłabyś może podrzucić mnie do domu Laurel? Zaponniałam, że mama poprosiła, abym sprawdziła, co się tam dzieje.

– Chcesz, żebym zaczekała i odwiozła cię do domu? Mogę też z tobą wejść. Uwielbiam dom Laurel. Tęsknię za nim. I tęsknię za nią.

Ostatnie słowa wypowiada prawie szeptem.

One wszystkie kochały Laurel. Kto jej nie kochał? Była niemal sławna, nie do końca rozumiały dlaczego, ale to wydawało im się cool. Zabrała

nas do galerii handlowej, kupiła nam kolczyki od Claire oraz przybyła do makijażu w Sephorze, a potem wyśmiewała się razem z nami z wyzywających ciuchów u Spencera. Poprosiła, żebyśmy dały jej posłuchać naszych playlist i naprawdę słuchała.

Potem, kiedy to się stało, wszystkie były dla mnie bardzo miłe. Oczywiście, że tak, przecież to moje przyjaciółki, ale po pewnym czasie wyczułam, że przeszły nad tym do porządku dziennego, tylko ja nadal stałam w stodole Agnes i patrzyłam na czarno-białe zdjęcie mojej pięknej, fajnej babci, stojące na stole w otoczeniu świec, kadzidel, szalwii, kamer, pocztówek, polaroidów i płatków kwiatów, jednocześnie mocno trzymałam za rękę młodszą siostrę, podczas gdy rodzice kłócili się w rogu sali.

Zabrałam te polaroidy ze stodoły. Ludzie przysyłali je do nas z całego świata, kiedy dowiedzieli się o Laurel. Próbné zdjęcia robione przez nią przed sesją, żeby sprawdzić oświetlenie i ujęcia, by rozluźnić atmosferę.

W szufladzie komody mam całą stertę fotografii całkiem obcych osób. Niektórzy dopisali na białych marginesach: „Laurel uchwyciła moją duszę”, „Laurel dostrzegła we mnie piękno, którego ja nie dostrzegałam”. Niektórzy z tych ludzi są niesamowicie sławni albo kiedyś byli sławni, a niektórzy to najzwyczajniejsi zjadacze chleba, ale Laurel sprawiła, że wydawali się niezwykli.

Zaczyna się ucisk, więc wstrzymuję oddech i chowam butelkę spródky do plecaka, żeby nie musieć patrzeć w zatroskane oczy Amber.

– Nie, nic mi nie będzie. Wyślesz mi potem esemes? Powiesz, co oglądasz.

Czy ja mówię bełkotliwie? Chyba nie. Przygryzam wargę odrobinę za mocno. To pomaga mi się skupić.

– Okej – odpowiada Amber. – Hej, wiesz co?

– Co?

– Wkrótce powinniśmy znowu popatrzeć na mapę i sprawdzić nasze oszczędności. Ja mam już piętnaście setek. A ty?

Wycieczka. Mapa na ścianie małego pokoju Amber: czerwone szpilki w miejscach dziwnych atrakcji w rodzaju Największej na Świecie

Błaszanej Rodziny w Północnej Dakocie, skonstruowanej wyłącznie z pustych beczek na ropę; niebieskie szpilki dla obiektów naturalnych, takich jak Wielki Kanion, którego żadna z nas nigdy nie widziała, choć mieszkamy zaledwie sześć godzin drogi od niego. Planowałyśmy to od czasu, gdy miałyśmy po jedenaście lat, i ustaliłyśmy wszystko; może pewnego dnia, kiedy będziemy mogły ruszyć w świat, okaże się, że naprawdę było warto. Kupimy na spółkę samochód, kiedy będziemy dość duże, i przez całe lato po zakończeniu szkoły będziemy podróżowały, spały w hostelach, na campingach i w namiotach, będziemy oglądały rozmaite rzeczy, niekiedy dziwaczne, a czasem piękne, będziemy spotykały rozmaitych ludzi, tych dziwacznych i tych pięknych, a może pięknych, ponieważ dziwacznych – tylko dwie dziewczyny objeżdżające świat samochodem, zanim przyjdzie to, co dzieje się po zakończeniu szkoły średniej. Amber wyprowadza psy sąsiadów, żeby zarobić, zbiera kupy do torebek, trzymając na smyczy rozszczekane teriery i lśniące retrievery. Ja jestem pomocnicą kelnera w miejscu, którego popisowym daniem jest trzywarstwowy hamburger z sześcioma rodzajami sera, dziesięcioma piklami, trzema papryczkami habanero i kruchą warstwą smażonej na maśle cebulki na wierzchu, a po jego zjedzeniu dostajesz naklejkę z napisem: „Zjadłem Pepper Patty w Patty’s Place i żyję”.

Waham się.

– Miałam pewną komplikację. Laptop mi się zepsuł. Zostało mi teraz tylko osiem setek, ale oszczędzam napiwki, więc nadrobię. Obiecuję.

Tamten laptop jest schowany pod stosem starych ciuchów w mojej szafie w domu mamy, ma roztrzaskany ekran i połowę wyłamanych klawiszy. Mama nie zgodziła się kupić mi nowego, więc wykorzystałam część zaoszczędzonych napiwków i kupiłam używany, bo był tańszy.

To się stało tamtej felernej nocy, po imprezie u Luisa. Jak już powiedziałam, szczegółów są trochę zamazane. Kiedy próbuję odtworzyć, co się stało, wspomnienia ode mnie odlatują, ulotne jak puch dmuchawca, kiedy na niego dmuchniesz. Zazwyczaj pamiętam wszystko. No, prawie wszystko; czasami wspomnienia przypominają książkę, w której brakuje kilku kartek. Ale noc u Luisa była inna. Czulałam się, jakbym wpadła do studni bez

dna i po prostu spadała, spadała i spadała bez końca. A potem wszystko po prostu... w pewnym momencie zniknęło.

Laptop stał się ofiarą. Najwidoczniej rzuciłam nim czy coś, albo walnęłam go, a to sprawiło, że matka się obudziła i weszła do mojego pokoju. Hałas. Wtedy mnie znalazła i właśnie w tym rzecz. Byłam zbyt narąbana, żeby udawać, że nie jestem narąbana. Zatem nie tylko Amber i pozostałe przyjaciółki trzymają mnie na krótkiej smyczy, ale mama również.

Amber uśmiecha się do mnie.

– Nie martw się. Mamy mnóstwo czasu. Wiesz, znalazłam kolejne fajne miejsce. Nazywane jest Aleją Gumy do Żucia, bo ludzie przyklejali tam gumy od wielu lat. Masz pojęcie? Ta Aleja znajduje się w Kalifornii. Ma około pięćdziesięciu stóp długości!

– To obrzydliwe i fantastyczne zarazem – mówię. – Doskonały dodatek. Dobre znalezisko.

Ostrożnie wysiadam z samochodu.

– Bella! – woła Amber.

Odwracam się i pochylam do otwartego okna od strony pasażera.

– Będzie dobrze – mówi. – Chodzi o tę sprawę z Dylanem. Potrzebujesz tylko jeszcze trochę czasu. Pamiętasz, ile zajęło mi wyleczenie się z Caleba?

Pamiętam. Było mnóstwo płaczu i tapczania, ale w końcu Amber stała się znowu dawną Amber: pozytywną, trzeźwo myślącą, skoncentrowaną.

Ale jest ogromna różnica pomiędzy Amber i Calebem a Dylanem i mną. A polega ona na tym, że to Amber zerwała. Caleb jej nie rzucił. To ona rzuciła jego. Ona nie musiała sterczeć na środku szkolnego parkingu i na oczach połowy uczniów wysłuchiwać, że ona jest dla niego „za bardzo”. Za Dylanem stali otaczający go kumple, jak wielka, kolektywna kałamarnica obronna.

„O cholera, ona płacze”.

„Stary, spadamy stąd”.

„Dylan, chłopie, wyluzuj, już po wszystkim, zmywamy się, zanim ona straci panowanie nad sobą”.

Zbiorowa kałamarnica Dylana trzymała telefony w pogotowiu, bo nie ma nic lepszego niż udostępnienie relacji z załamania po zerwaniu. A ja musiałam tam stać i znosić to wszystko, bo gdybym wyszła z siebie, to w ciągu sekundy mój wybuch zostałby rozesłany wszędzie. Musiałam udawać, że to nic takiego, jak duch pozbawiony uczuć, pozbawiony wyrazu, tylko... „Nieważne okej spoko Dylan wiesz nieważne wszystkiego najlepszego”.

– Trzymaj się, Bella – powiedział, kiedy odchodziłam.

Nie zdawał sobie sprawy, że w środku rozpadam się na kawałki, dobita swobodnym tonem jego głosu.

– Tak – zwracam się do Amber z wymuszonym uśmiechem i znowu przygryzam wargę, żeby przypadkiem nie zacząć bełkotać. – Wiem. Wszystko dobrze. Jest cool.

Amber się waha.

– Może odpuść sobie dzisiaj, okej?

Ma na myśli spródkę. Czyżbym jednak bełkotała?

– O, na pewno – mówię szybko, bo najlepsze, co teraz mogę zrobić, to dostać się czym prędzej do domu Laurel. – Zamierzam zadołować to gdzieś w środku, a potem wrócę do domu.

– Kocham cię, B – zapewnia Amber.

– Ja też cię kocham, A.

* * *

Jest taki fragment brukowanego chodnika prowadzącego do domu babci, który zawsze obchodzę dookoła. Nauczyłam się liczyć kroki do jej frontowych drzwi. Wiem, że przy piętnastym trzeba zejść ze ścieżki i wrócić na nią przy osiemnastym.

Coś we mnie zawsze wymazuje pamięć przy kroku piętnastym i powraca do życia przy osiemnastym. Wiem, że nic się nie stanie, jeśli

mój sneakers nadepnie na te konkretne płyty bruku, ale to i tak wydaje mi się niewłaściwe.

Boli mnie świadomość tego, co się tam wydarzyło.

Robię głęboki wdech przed przekręceniem klucza w zamku i otwarciem drzwi. Uderza we mnie fala ciepła. Jest listopad; nocą temperatura w Tucson spada do dziesięciu stopni, a gwiazdy świecą jasno na granatowym niebie. Moja matka nadal nie odłączyła gazu ani prądu, nie zmieniła niczego w domu Laurel. Dlatego ten budynek, położony pięć posesji od naszego, jest nadal domem Laurel, wygląda tak, jak w chwili, gdy go zostawiła. Jakby lada moment miała wrócić z podróży, o której zapomniiała nas zawiadomić.

Ale ona nie wróci.

Za każdym razem, gdy tata mówi mamie, że już czas wystawić dom na sprzedaż, na twarzy mamy pojawia się szpetny wyraz smutku i złości.

– Ty nic nie rozumiesz – odpowiada ojcu. – Ty chcesz tylko jej pieniędzy. Czy nie wzięłaś już ode mnie wystarczająco dużo?

I wtedy tata się zamyka. Potem zamyka się mama. A następnie nakręca się Ricci, zaczyna walić albo wrzeszczeć, albo kopać zmywarkę, po czym słyszę:

– Bella, uspokój siostrę.

– Bella, powiedz ojcu, że czas wyjść.

– Bella, powiedz matce, że już mnie nie ma.

Otwieram drzwi frontowe i przechodzę przez bawialnię Laurel. Mijam ładną, niebieską jak jajko rudzika, aksamitną kanapę vintage, potem wszystkie oprawione w ramki czarno-białe fotografie mojej matki z dzieciństwa, dzięki którym Laurel stała się sławna – te, przy których zwykle lubię przystawać i którym przyglądam się przez dłuższą chwilę. Moja matka zatrzymana w czasie w wieku czterech, siedmiu, dziesięciu lat, w czerni i bieli, na tle lasów północnej części stanu Nowy Jork; jej skóra jest lśniąca i eteryczna, a ciało wygląda jak marmurowy posąg ducha dziewczynki.

Czasami patrzę teraz na matkę i staram się dostrzec w niej tamtą dziewczynkę z fotografii, tę, której oczy spoglądały tak przenikliwie, że

nie wydawała się zwyczajnym dzieckiem, a pozaziemską istotą, dzielną i potężną pomimo niewielkiego wzrostu.

Nie jestem pewna, czy dostrzegam ją w matowych, zaczesanych do tyłu włosach mamy i jej oczach, takich smutnych od lat, a jeszcze bardziej teraz, kiedy Laurel, jej matka, odeszła.

Chciałabym ją odnaleźć. Wydaje mi się, że mogłybyśmy się zaprzyjaźnić – ta dziewczynka i ja.

Idę prosto do kuchni, do spiżarni, która również pozostała niezmienną, z pudełkami herbaty, puszkami zupy, torebkami ryżu i fasoli pinto, pojemnikami z kadzidłem i mąką.

Oraz niezliczonymi butelkami ginu, wódki, wermutu, brandy i schnap-psa.

Nie musimy wychodzić na ulicę i prosić obcych ludzi, żeby kupili nam alkohol w Lucy Licker. Mogłybyśmy przychodzić tutaj. Moja matka nigdy nie pojawia się w tym domu. Ale nie chcę ich tu wpuszczać. Kocham Cherie i Kristen, ale one po pewnym czasie robią się zbyt głośne. Niechlujne. Gdyby tu weszły, mogłyby zniszczyć to miejsce. Jego spokój.

A to jest moje miejsce.

* * *

Nigdy nie siadam w bawialni, bo czułabym się samotnie, patrząc na pusty fotel Laurel i stolik, na którym już nigdy nie postawi sobie obiadu przy oglądaniu telewizji. W dodatku pani Rabinovitz zauważyła kiedyś zapalone światło, przyszła i zastukała do drzwi, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Musiałam chyba przez dziesięć godzin wysłuchiwać jej paplaniny o kocie i bolących plecach, modląc się w duchu, żeby nie zauważyła, że jestem trochę zawiana.

– Miła z ciebie dziewczynka, że dbasz o jej dom. Ona cię bardzo kochała. – Pani Rabinovitz miała takie malutkie, dobre oczy za ogromnymi okularami. Jedną ręką gładziła gruby siwy warkocz przerzucony przez ramię i zaczęła ronić łzy. Kiedy to zobaczyłam, o mało się nie posypałam,

więc powiedziałam, że dzwoni mój telefon, i zamknęłam jej drzwi przed nosem.

Można by pomyśleć, że starsza pani będzie lubiła fantastykę i historię, ale Laurel lubiła morderstwa, szczególnie prawdziwe zbrodnie. Wydaje mi się, że po skończeniu z fotografowaniem powinna zacząć nowe życie jako detektyw, naprawdę. Potrafiła rozwiązać połowę zagadek z programu *Akta Zbrodni* w ciągu pierwszych piętnastu minut.

– Wszyscy ludzie – mawiała, skubiąc ser i krakersy delikatnymi, zawsze drżącymi rękami – mają ciemną stronę. Trzeba tylko dokopać się trochę głębiej.

Przechodzę korytarzem prowadzącym do łazienki i kilku pokojów. Jedną z sypialni zajmowała Laurel, druga należała do mnie, trzecia do Ricci, jeśli nocowaliśmy u babci, a w kolejnej mieściło się archiwum fotograficzne. Wydaje mi się, że Laurel sama nie zaglądała tam zbyt często, ale mnie pozwalała czasami przeglądać zbiory, a mogłam to robić godzinami. Swego czasu Laurel zarobiła mnóstwo pieniędzy na fotografowaniu aktorów i gwiazd rocka. Niekiedy opowiadała mi drobne anegdotki o sławnych ludziach, których spotkała.

Wchodzę do kuchni, siadam przy długim, staromodnym, drewnianym stole laboratoryjnym, który znalazła w Antykwariacie na Dwudziestej Drugiej Ulicy, w którym mogła myszkować godzinami, zanim prowadzenie samochodu stało się dla niej zbyt trudne. Grałyśmy razem w scrabble albo w tryktraka, albo w Na ryby.

– Tylko odrobinę – mawiała, nalewając mi schnappsa. – Coś słodkiego dla mojej najlepszej dziewczynki.

Nigdy nie dawała mi zbyt dużo. Tylko troszeczkę. Ale dość, bym poczuła rozkoszne mrowienie na plecach. Dość, bym poczuła się jakoś lepiej.

Nasza ostatnia plansza scrabblu nadal leży na stole.

Biorę szklankę, trochę lodu i nalewam sobie wódki, dodaję sprite'a z puszki, siadam przy stole i patrzę na słowa, które pozostały.

„Apteka”. „Ukryta”. „Ty”. „Sza”.

Wyjmuję telefon z kieszeni kurtki.

Trzy esemesy od matki. Ignoruję je.

Posty Kristen i Cherie z imprezy. Za nimi przyćmione światła, błyszczące twarze. Przybliżam je. Czy w tle jest Dylan? Nie widzę go.

Z mocno bijącym sercem sprawdzam jego stories.

Nic.

Powiedział mi kiedyś, że jestem najfajniejszą dziewczyną, jaką w życiu spotkał. Przyparł mnie do szafek w szkole i pocałował. I nie puścił mojej ręki, kiedy podeszli jego kumple.

Powiedziałam Laurel o Dylanie, zanim moja mama się o nim dowiedziała. Babcia przesunęła pionek na planszy i popatrzyła na mnie poważnymi, niebieskimi jak morze oczami, podkreślonymi czarnym eyelinerem, rozmazanym w kącikach. Ręce jej się trzęsły, więc nie dawała rady nanieść go równo, ale była zdeterminowana, żeby malować się codziennie.

– Miłość romantyczna powoduje zawrót głowy, jest cudowna i przerażająca równocześnie, ale nie pozwól, by cię zaślepiła. – Obrzuciła mnie poważnym spojrzeniem.

Moja babcia była artystką; wszystko, co mówiła, było dla mnie fascynujące i dziwne. Wtedy nie rozumiałam, o co jej chodzi, i nie jestem pewna, czy rozumiem to teraz. Może zrozumieć, kiedy będę starsza.

Serce mi się ściska. Tak bym chciała, żeby była tu teraz ze mną, przy tym stole. Szkoda, że nigdy...

Zamykam oczy i piję.

Przesuwam litery na mojej podkładce do scrabbli. Mogę ułożyć wyraz: „polać”.

Zapytałam kiedyś Laurel o ojca mojej mamy, o to kim był i gdzie teraz jest.

– Czasami nie można zabrać kogoś ze sobą tam, dokąd trzeba pojechać – odpowiedziała tylko.

Zastanawiam się, czy Laurel była kiedyś dla kogoś „za bardzo”.

Ona zawsze lubiła mnie taką, jaka byłam.

Piję, piję, piję.

Tak tu cicho. To jedyne ciche miejsce w moim świecie wypełnionym hałasem.

Szoruję zęby przed wyjściem, starannie płuczę szczoteczkę. Myję szklankę, wycieram ją i wstawiam z powrotem do szafki. Na wszelki wypadek rozgryzam trzy miętówki. Szczypię policzki, żeby oprzytomnieć, pozbyć się zamroczenia. Ponownie napełniam butelkę spródkki i chowam ją do plecaka. Upewniam się, że wszystkie światła są zgaszone, a drzwi zamknięte na klucz, że wszystko jest w idealnym porządku. Wychodzę, chłodne powietrze przyjemnie muska moją skórę i trochę mnie otrzeźwia.

Kiedy od domu dzielą mnie dwa budynki, już słyszę Ricci, jej przeciągle wycie i krzyki:

– Niiieee! Nie chcę!

Biorę głęboki wdech i otwieram drzwi frontowe. Cieszę się, że mam w sobie coś, co choć trochę pozwala stępić wszystkie doznania.

Mama z zaczerwienioną, poirytowaną twarzą stoi w bawialni i opiera ręce na biodrach, a moja młodsza siostra tarza się po podłodze, ścisnąc tabletki.

Zamykam drzwi. Matka odwraca się do mnie.

– Gdzie byłeś? Wysyłałam do ciebie esemesy.

W domu śmierdzi rozgotowanymi kluskami. Makaron z serem to jedyne, co Ricci teraz jada, a lubi kluchy tak miękkie, że praktycznie ściekają z widelca.

– Z Amber. Mówiłam ci dziś rano.

Mama węszy w powietrzu.

– Co to za zapach? Paliałaś?

Rzucam plecak na ziemię.

Mój mózg mówi: „Powiedz jej, że to Kristen paliła. Ona i tak nie lubi Kristen”.

– Kristen popała elektryki. Ja nie. Wiesz przecież.

– Był też alkohol? Zawarliśmy umowę, Bello.

No tak. Umowa po imprezie u Luisa. Żadnego picia, żadnych imprez.

– Nie. Mam chuchnąć? – Otwieram usta.

Matka się zastanawia.

Jeśli chcesz udawać, że wszystko jest w porządku, to udawaj, że wszystko jest w porządku. Jakbyś nie miała nic do ukrycia. Jestem grzeczną dziewczynką, mam dobre stopnie. Pomagam w domu. Pracuję. Ogarniam wszystko. Przeżyłam śmierć i rozwód. Miałam niewielką wpadkę w związku z Niefortunnym Załamaniem w Miejscu Publicznym, to wszystko.

Patrzę matce prosto w twarz.

– Mamo, no co ty? Naprawdę?

– Znasz moje zdanie o Kristen.

Wzruszam ramionami. Jestem bezpieczna. Niechęć mojej matki do Kristen bierze górę nad jej podejrzeniami w stosunku do mnie. No i chwilowo jest zbyt sfrustrowana Ricci.

Jej ramiona opadają.

– Potrzebuję pomocy. Dzisiaj wytrzymała w szkole tylko pół dnia, a mnie gonią terminy. Nie mogę nawalić. Czy mogłabyś...

Moja matka pisze scenariusze do zwariowanego codziennego show dla radia z siedzibą w innym stanie. Przez siedem lat nawet nie spotkała szefa osobiście, wymienia tylko maile, telefony i zoomy z producentem. Oni przysyłają jej pomysły w rodzaju obcych z Roswell albo sławnego hollywoodzkiego aktora, który przechowywał w domu zamrożoną matkę. Ona wyszukuje wszelkie teorie i najnowsze informacje na zadany temat, potem pisze scenariusz, a gospodarz programu, niejaki A.W. Stryker, robi z tego show. Lubię tego słuchać, to prawdziwa jazda. Po każdym odcinku facet odbiera dziesiątki telefonów i możecie mi wierzyć, ludzie naprawdę mają ciemną stronę, jak mówiła babcia. I mnóstwo wolnego czasu. To bardzo popularny program, ale prowadzący jest prawdziwym dziwakiem, niekiedy zmienia temat w ostatniej chwili, a mama musi pracować i pisać do późnej nocy. Wiem, że chciałaby robić co innego, coś, co nazywa „prawdziwym pisaniem”, ale to jedyna praca, która pozwala jej zajmować się Ricci.

A Ricci wymaga nieustannej pracy.

– Ricci! – wrzeszczę, stając nad siostrą. – Baczność.

Mała przestaje się tarzać, podrywa się z podłogi i staje na baczność z tabletem pod pachą.

– Sierżant Siostró, czy jesteś gotowa do łóżka?

– Nie, dowódcó, nie.

– Sierżant Siostró, czy będziesz gotowa do łóżka po trzydziestu minutach oglądania filmików z kotami, trzech ciasteczkach oreo i szklance mleka? Major Mama została odkomenderowana do pracy i musi zostać zwolniona, bo inaczej trafi do karceru. Czy chcemy, żeby to spotkało Major Mame?

– Nie, nie chcemy.

– Czy rozumiemy się, Sierżant Siostró? Mówi twoja Kapitan.

Siostra pręży się w postawie na baczność.

– Jestem gotowa, Kapitanie.

– Więc marsz. Raz, dwa, raz, dwa. – Maszeruję w miejscu, wskazując korytarz prowadzący do jej sypialni.

Siostra maszeruje korytarzem, blond kucyk kołysze się na boki, a piżama z bałwankiem Olafem opina pośladki.

Matka ma głębokie, ciemne kręgi pod oczami i wygląda na to, że nie miała szansy wziąć dzisiaj prysznic.

– Ricci, czy znowu udawałaś w szkole chorą, żeby móc wrócić do domu? – pytam cicho. – Wiesz, że mama potrzebuje czasu, żeby popracować.

– Sorry – mruczy mała, pocierając twarz.

Ricci ma trudności w szkole. Rodzice przenieśli ją do nowej placówki, w której mają poduchy i miejsce do wyciszenia się, ale każą sobie słono płacić. Ricci przynajmniej dwa razy w tygodniu skarży się na dolegliwości żołądkowe albo bóle głowy, wtedy albo mama, albo tata, w zależności od tego, które z nich ma nas pod opieką w danym tygodniu, musi rzucać wszystko i jechać ją odebrać. Za każdym razem następuje cudowne uzdrowienie, gdy tylko Ricci znajdzie się w domu, a rodzice kłócą się przez telefon, co jej jest i czyja to wina. „To z powodu śmierci babci i waszego rozvodu!”, krzyczę na nich w myślach. „Przy każdym wyjściu z domu Ricci obawia się, że jeśli nie będzie pilnować tego, co

się tu dzieje, to zmieni się coś jeszcze. Ona ma dopiero siedem lat i nie zniesie już ani jednej okropnej rzeczy więcej”.

Ricci oczywiście mi tego nie powiedziała. To tylko taka moja teoria.

– Jaki masz dzisiaj temat? – pytam mamę, gdy wchodzę do kuchni, żeby nalać Ricci szklanek mleka i wziąć kilka oreo w serwetkę.

Mama przesuwa papiery po kuchennym blacie.

– O kobiecie z Arkansas, która zobaczyła Jezusa w swojej kanapce z grillowanym serem, i mężczyźnie z Włoch, który poślubił Krzywą Wieżę w Pizie.

– Mam nadzieję, że będą ze sobą szczęśliwi.

– Chyba że Piza okaże się wiecznie narzekającą jędzą.

Przesuwam palcem po wzorze na ciasteczku oreo. To jest coś, co tata powiedział mamie przed rokiem, zanim się wyprowadził. Nie wiem, czy zdawał sobie sprawę, że słyszę ich awantury. Zamykali drzwi sypialni i niżali głos do ochryplego szeptu. „Popatrz, co się z ciebie zrobiło, Diano. Wiecznie narzekająca jędza”.

– Do roboty, Major Mamo.

Mama uśmiecha się do mnie z wdzięcznością, przenosi się na wyspę kuchenną, siada na stołku i otwiera laptop.

* * *

Siostra leży pod przykryciem. Podaję jej serwetkę z oreo, włączę do łózka i wyciągam się obok niej. Obwąchuję ją delikatnie.

– Powinnaś się wykąpać, Ricci.

– Woda szczypie. Zrób mi miejsce!

Wzdycham i wynoszę się z łózka, a Ricci znajduje na tablecie filmik, który chce obejrzeć. Siostra potrzebuje swojego pokoju, żeby móc się odprężyć. Można by pomyśleć, że pomogłoby w tym właśnie niepatrzenie w ekran, ale oglądanie filmów o zwierzętach naprawdę ją uspokaja. Ona kocha zwierzęta. Gdyby mogła, zmieniłaby nasz dom w zoo.

Obchodzę pokój dookoła, starannie odkładam figurki Minecrafta na biurko, gdzie ich miejsce, układam kredki według kolorów (biała, czarna,

żółta, niebieska, zielona, różowa), trzykrotnie postukuję w akwarium, żeby powiedzieć dobranoc okrągłutkiej złotej rybce, która kręci się w kółko, spryskując terrarium rzekotki drzewnej przez górną pokrywę i zaglądam do wnętrza szafy w poszukiwaniu potworów. Na koniec dokładnie otulam Ricci kocem, wsuwam go pod jej nogi i tułów, ale nie zakrywam ramion. To wszystko jest jej potrzebne. Nazywa to „palcokryciem”.

– Sierżant Siostró, kwatery jest czyste. Czy mogę już wleźć na prycze? Radośnie kiwa głową. Kładę się obok niej.

– Musisz pozwolić mamie popracować – mówię. – To jej zawód. Masz trzydzieści minut, potem gaszę światło, okej? Mam coś do zrobienia.

Możliwe, że mój głos zabrzmiał nieco ostrzej, niż bym sobie życzyła, bo twarz Ricci się kurczy.

– Przepraszam – szepcze.

Pilnuję się, żeby tym razem odezwać się łagodniej.

– W porządku. Ale to koniec, okej?

Ricci kiwa głową.

Nastawiam timer w telefonie.

Wideo o ślicznych kotkach i językach, chrupanie ciasteczek oreo i siorbanie mleka; wkrótce powieki siostry zaczynają opadać. Gładzę jej włosy. Czasami zapominam, że ma dopiero siedem lat i świat jest dla niej trudny. Wydaje mi się, że ja w tym wieku byłam już strasznie dawno temu, przez co niewiele pamiętam. Zostały mi tylko takie oderwane migawki: jak uważnie czytam na głos nauczycielce, jak staram się, żeby moje ćwiczenia z matematyki były czyste i porządne, żeby każda cyferka znalazła się na właściwym miejscu. Delikatnie wyjmuję tablet z ręki Ricci, a ona przytula się do mnie.

Walczę z sennością. Nie chcę jeszcze spać, więc szczypię się w udo przez dżinsy, bo zamierzam pójść do swojego pokoju, położyć się na podłodze i zostać sama. Ze słuchawkami na uszach dokończyć spródkę, gapiąc się na lampki choinkowe rozwieszane na ścianach, i zapomnieć o Dylanie, zapomnieć o wszystkim, sama, niesiona i kołysana moim prywatnym oceanem.